

NATALIA FROMUTH



# Lights Up

beYA.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiejkolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Niniejszy utwór jest fikcją literacką. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci — żyjących obecnie lub w przeszłości — oraz do rzeczywistych zdarzeń losowych, miejsc czy przedsięwzięć jest czysto przypadkowe.

Redaktor prowadzący: Barbara Lepionka

Redakcja: Anna Strożek

Korekta: Elżbieta Woźniak

Drogi Czytelniku!

Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres

*<https://beya.pl/user/opinielights>*

Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

Helion S.A.

ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice

tel. 32 231 22 19, 32 230 98 63

e-mail: *[kontakt@beya.pl](mailto:kontakt@beya.pl)*

WWW: *<https://beya.pl>*

ISBN: 978-83-283-9296-0

Copyright © Helion S.A. 2022

Printed in Poland.

- Kup książkę
- Poleć książkę
- Oceń książkę

- Księgarnia internetowa
- Lubię to! » Nasza społeczność

## PROLOG

*Śmierć osiągnie każdego.*

*To sprawa nieunikniona, nie ma człowieka, który wyplątałby się z tej powinności.*

*Każdy z nas się urodził, każdy więc doświadczy tego gorzkiego odejścia i pozostawi pustkę w sercu tych, którzy cenili naszą obecność.*

*Niekiedy śmierć jest postrzegana jako ucieczka od tego beznadziejnego świata, ukrócenie cierpienia czy jednakowo wydeptana droga do przewyższenia ciężającej na nas starości.*

*Jednak nie wszyscy umieramy na starość, moi drodzy. Nie wszystkich los zabiera wtedy, gdy są na to gotowi. To okrutne.*

*Zebraliśmy się tutaj, aby pożegnać naszego wzorowego ucznia, dobrego kolegę z ławki i sąsiedztwa, Enza Deona. Jego strata jest dla naszej społeczności olbrzymim ciosem, niewyobrażalną tragedią, przepętnioną cierpieniem i niezmiernym bólem. Enzo na zawsze pozostanie w naszych sercach, będziemy go pamiętać jako przykładnego, odpowiedzialnego mężczyznę, świetnego przedstawiciela szkoły i niezawodnego przyjaciela.*

— I jako dupka, przede wszystkim. — Usłyszałam męski szept dobiegający z tyłu dwuszeregu, w którym ustawiliśmy się w sali gimnastycznej.

A potem krótkie chrząknięcie na znak dezaprobaty.

*Aby wyrazić naszą tęsknotę i upamiętnić tę wielką stratę, uczcijmy minutą ciszy pamięć o naszym kochanym Enzu.*

W ciągu tych sześćdziesięciu sekund zrozumiałam, że to miejsce zmieniło się na zawsze. W powietrzu unosił się zapach goryczy, łez i niezrozumienia. Nikt właściwie nie wiedział, dlaczego chłopak rzucił się z klifu wprost na ostre kamienie.

Po apelu powolnym krokiem zmierzaliśmy z powrotem na lekcję. Wszyscy szeptali, nie było odważnych, którzy w tamtej chwili potrafiliby cokolwiek krzyknąć, by się przebić przez to gęste powietrze.

— Myślisz, że to wypadek? — Agnes nachyliła się do mnie i przełknęła głośno ślinę. — Nie oszukujmy się, Enzo miał wielu wrogów.

Zamyśliłam się, zapatrzona w swoje stopy, które nieporadnie kroczyły przed siebie.

— On brał na siebie mnóstwo obowiązków, może po prostu tego nie wytrzymał. Był przewodniczącym szkoły, cały czas się w czymś udzielał albo założył komuś za skórę.

— *Albo założył za skórę* — zauważyła Agnes, po czym odchyliła się z powrotem, wyprostowała plecy i posławszy mi intrygujące spojrzenie, zostawiła mnie z moimi myślami.

Całe miasteczko podejrzewało *ich* o wszelkie złe rzeczy, które się w nim działy. W opinii innych to oni rabowali pobliskie sklepy, łodzie rybackie, a każda rzecz, której dotykali, zamieniała się w pył. Mieszkańcy bali się spojrzeć im w oczy, bali się wejść im w drogę, a przecież to tylko banda głupich, zbuntowanych nastolatków.

Do dzisiaj. Tego dnia każdy mógł mieć drugą twarz.

Przede wszystkim Rose.

Leonce DeRose był pierwszym i najpoważniejszym podejrzanym o zabójstwo Enza. Wiecznie żujący gumę, ubrany w dżinsową kurtkę, siedział w ostatniej ławce.

A ja siedziałam tuż przed nim i bałam się jego oddechu na mojej szyi.

Do czasu.

# Rozdział 1

**T**e dzieciaki są zdolne do wszystkiego. Nie wydaje mi się, żeby to było samobójstwo, Laurent. — Ledwo co przekroczyłam próg kuchni, gdy usłyszałam głos mamy.

Najpierw zobaczyłam tatę, właśnie stawał przed nosem Anthony'ego miskę owsianki, i zaraz dojrzałam mamę. Krzątała się przy zlewie, wycierając białe talerze. Powitała mnie szerokim uśmiechem.

— O, dobrze, że wstałaś — powiedział tata i usiadł przy stole. — Spałaś dzisiaj w ogóle?

Skinęłam głową, chociaż zamknęłam oczy tylko na dwie godziny. Tyle co nic.

— Znowu rozmawiacie o śmierci Enza — zauważyłam i usiadłam na krześle obok młodszego brata, by palcem trącić jego nos i zobaczyć, jak w dziecięcej złości marszczy brwi. — Coś już wiesz, tato?

Chociaż byłam tym tematem naprawdę zmęczona, to tak jak każdy chciałam poznać prawdę. Zagadką żyło całe miasteczko, codziennie słyszałam o tej tragedii, o domysłach na temat jej okoliczności i wysłuchiwałam kościelnych modlitw w intencji Enza. Byłam tym przesiąknięta, a żal spływał na moje ciało, zostawiając po sobie ślady, które trudno było z siebie zmyć.

Tata był najbliżej miejsca zbrodni. Wymyślał przeróżne scenariusze, by dojść do rozwiązania tej beznadziejnej zagadki. W końcu był szeryfem,

naczelnym śledczym we wszystkich sprawach wymagających wyjaśnienia. Żył każdą historią, jaka się przytrafiła komukolwiek w tej okolicy, i choćby miał nie spać po nocach, zupełnie tak samo jak ja, musiał się wszystkiego dowiedzieć. Interesował go każdy szczegół.

Teraz jednak kręcił głową, wzdychając ciężko.

— Do tej pory myślałem, że to samobójstwo — zaczął, po czym upił łyk kawy. — Ostatnio znalazłem przy brzegu torebkę tytoniu, jakby wypadła mu z rąk podczas lotu — mówił, a ja zmarszczyłam brwi.

Już wtedy doskonale wiedziałam, kto znajdował się w najwęższym kręgu jego podejrzanych. Tylko ta grupa chłopaków z mojej szkoły wydawała się w tamtym momencie powiązana ze sprawą. Nawet nie chodziło o ten tytoń, oni po prostu nie znosili Enza.

Zresztą łatwo było wszystkich osądzać, droga do prawdy nie wydawała się równie prosta.

— Co to tytoń, tato? — spytał zaciekawiony Anthony, a mama uderzyła ojca delikatnie w ramię.

— Okej, dosyć rozmowy o samobójstwach i tytoniu przy pięciolatku! — powiedziała i wcisnęła chłopcu łyżkę owsianki do buzi. — Nic wartego uwagi, Tony. To nic ani zdrowego, ani dobrego.

— Tytoń — rzuciłam nagle, wpatrując się martwo w swoją miskę z jedzeniem. — Enzo i tytoń? — Zmarszczyłam brwi.

— Szczerze mówiąc, też jestem zdziwiona. — Mama zakryła uszy bratu, na co ten zaczął się jej wyrywać i cicho śmiać. — Wydawało mi się, że to był dobry dzieciak, nigdy nie sprawiał problemów, był z dobrego domu... — Tu skończyła i wypuściła małego z objęć, by zaraz ucałować go w czubek głowy.

— Dobry czy niedobry, należy mu się godne rozwiązanie tej sprawy — podsumował tata, a my wszyscy się z tym zgodziliśmy. — To jak? — zapytał po chwili, przerwawszy dojadanie swojego śniadania. — Jak spałaś, Blanco? — dodał i obdarzył mnie troskliwym spojrzeniem. — Tabletki trochę ci pomogły?

Moim marzeniem było, by chociaż tego jednego ranka pokiwać głową i powiedzieć im, że nowe leki czy sposoby na sen w końcu działają. Jednak ten dzień nie należał do wymarzonych, dlatego niechętnie pokręciłam głową, tak by jednocześnie uniknąć ich zawiedzionego wzroku. Zdawało mi się, że rodzicom zależało na moim śnie o wiele bardziej niż mnie. Ja naprawdę dobrze się bawiłam, patrząc każdej nocy w gwiazdy i korzystając z czasu wolnego, jaki dawała mi bezsenność. To prawda, sporo mi też zabierała. Wypadały mi włosy, byłam osłabiona i zmęczona, ale dla mnie to nie był koniec świata.

— Musimy zacząć odkładać pieniądze na leczenie w Paryżu, Emmo. — Tata westchnął, a ja spojrzałam na oboje rodziców w popłochu i pokręciłam głową, próbując wyrazem twarzy odwieść ich od tego pomysłu. — Leczenie w pobliskich miasteczkach jest bez sensu, oni nie mają tyle wiedzy, żeby jej pomóc.

— Nie potrzebuję żadnego leczenia — wyrzuciłam z siebie, gdy tylko skończył mówić. — Czuję się świetnie, zupełnie mi to nie przeszkadza! — Próbowałam ich przekonać, jednak mój szeroki uśmiech nawet na moment ich nie uspokoił. — Leczenie w Paryżu musi być bardzo drogie, sam dojazd będzie was sporo kosztował... — ciągnęłam dalej, nieco zrezygnowana.

— Pieniądze nie mają znaczenia, słońce. — Mama pogłaskała mnie po głowie, tak samo jak wcześniej Tony'ego. — Z czasem zobaczysz, że ta bezsenność wcale nie jest dla ciebie taka dobra, jak ci się wydaje — uprzedziła, by tym samym zakończyć temat.

Być może dopadł mnie syndrom sztokholmski, przez który niesamowicie kochałam bezsenność, choć ta z dnia na dzień robiła ze mnie kogoś słabszego. Na razie jednak zupełnie nie potrafiłam się zgodzić z rodzicami. Czułam się silna, a sen wydawał mi się zwyczajną stratą czasu. Wszystko wyglądało przecież o wiele ładniej, kiedy było ciemno. Wtedy nie dostrzegałam iskrzących się w słońcu wad.

\* \* \*

W szkole huczało od plotek na temat śmierci przewodniczącego. Wszyscy wydawali się sobie wrogami, ludzie mało komu ufali, lustrowali się nawzajem spojrzeniami pełnymi przenikliwości. To sprawiało, że nienawidziłam tego miejsca jeszcze bardziej. Każdy znał każdego, każdy znał imię tego, kogo właśnie mijał, i być może słyszał jakąś intrygującą plotkę na temat jego rodziny. Nie umykało uwadze otoczenia to, czy danej niedzieli byłam w kościele albo kupiłam w sklepie coś, czego zazwyczaj nie brałam. To poczucie bycia obserwowanym i ocenianym na każdym kroku sprawiało, że bałam się wyjść poza schemat. Jedynie nocą, kiedy wszyscy spali, w końcu czułam się w pełni wolna. Nikt na mnie nie patrzył. Byłam tylko ja i świecące nad moją głową gwiazdy.

— Blanca Lavigne, jesteś jeszcze z nami?

Otrząsnęłam się natychmiast i spojrzałam przed siebie, oderwawszy się od obrazu za oknem. Profesor Vaux patrzył pytająco w moją stronę.

Pokiwałam gorączkowo głową.

— Jestem, bardzo przepraszam — wymamrotałam i wbiłam wzrok w zeszyt przed nosem.

— Wszystko w porządku? — zapytał dla pewności, a ja jedynie wybąkałam kilka słów, by utwierdzić go w przekonaniu, że nie ma się czym przejmować. — Posłuchajcie, jestem dla was ostatnio wyrozumiały, jak nigdy wcześniej, ale musicie powoli wracać do sprawności — wyjaśnił Vaux i westchnął. — Wiem, że jest wam niesłychanie ciężko, ale żyje się dalej, tak? — Zaśmiał się nerwowo i rozłożywszy ręce, wodził wzrokiem po naszych twarzach. Wydawało się jednak, że nikt nie podzielał jego zdania.

— Dokładnie. — Usłyszałam za sobą głos.

Leonce siedział w ławce za mną i praktycznie nigdy nie uważał na zajęciach. Co jakiś czas rzucał we mnie kulkami z papieru, kopał nogi mojego krzesła albo pożyczzał ode mnie długopis, by nigdy mi go nie oddać.

Mimo to nie zawałił żadnego egzaminu, co zawsze w jakimś stopniu mieszało mi w głowie.

Obejrzałam się ostrożnie za siebie i napotkałam jego spojrzenie. Chłopak zmarszczył brwi.



— Co? — spytał. — Nie zgadzasz się? — Kąciki jego ust pomknęły ku górze w drwiącym uśmiechu, a ja pokręciłam głową.

— Nieważne — mruknęłam i odwróciłam się z powrotem w stronę nauczyciela.

— Nie żałuj umarłych, żałuj żywych, Lavigne. — Chłopak nachylił się nade mną tak, że te słowa szeptał mi wprost do lewego ucha. — Zdaje mi się, że tego nie uczą w tym twoim kościele, a szkoda. — Parsknął śmiechem i odsunął się ode mnie, a moje ciało zalała fala złości.

Zacisnęłam pięści i przez jakiś czas walczyłam z przerażająco silną chęcią, by się odwrócić w jego stronę i wykrzyknąć, jak bardzo mnie zranił.

*Poważnie, Rose? Wytyskanie komuś religii to jedyne, na co cię stać?*

Kilka minut później, kiedy lekcja zbliżała się ku końcowi, ktoś z impetem i bez uprzedzenia otworzył drzwi do klasy. W progu stanął dyrektor. Zmierzył nas wszystkich wzrokiem, po czym zatrzymywał się po kolei na paru twarzach.

— Przepraszam, panie Vaux — zwrócił się do profesora. — Chciałbym zabrać ze sobą kilka osób.

Nauczyciel skinął głową.

— Jeśli to konieczne.

— Louis, Jules i Leonce. — Dyrektor wymienił trójkę przyjaciół, którzy w tej samej chwili spojrzeli na siebie krzywo. — Zapraszam was do gabinetu.

Wywołani powoli podnieśli się z krzeseł i ruszyli w kierunku wyjścia. Zastanawiało mnie, dlaczego nie potrafili na siebie spojrzeć tak samo jak wcześniej. Przecież dotychczas byli nierozłączni. Wszędzie było ich pełno, trzymali się razem od podstawówki, a teraz wydawało się, że to wszystko nic nie znaczy, że to już przeszłość.

## Rozdział 2

**B**eznadziejnie to wszystko wygląda — skwitowała Agnes, kiedy wyszliśmy ze szkoły.

Ta filigranowa brunetka o oliwkowej cerze była moją dobrą koleżanką już od czasów podstawówki. Nigdy jednak nie nazwałyśmy się przyjaciółkami. Z niektórymi tak jest — można się z kimś świetnie dogadywać, ale nie jest to na tyle głęboka relacja, by powierzać sobie wszystkie sekrety. Lubiłam prosić tę dziewczynę o pomoc, jednak nie zwierzałam się jej z głębszych, bardziej męczących mnie problemów, takich jak bezsenność. Mimo wszystko uwielbiałam jej towarzystwo. Agnes wydawała się niezwykle podobna do mnie. Często miałyśmy takie samo zdanie na różne tematy.

Westchnęłam ciężko i poprawiłam szelkę plecaka.

— To fakt, ostatnio nic nie jest w porządku — odparłam zgodnie z prawdą.

— Może to niewłaściwe, ale strasznie chciałabym się dowiedzieć, kto go zrzucił z tego klifu — wystrzeliła nagle.

Skrzywiłam się, ale nie oderwałam wzroku od ścieżki.

— Zrzucił? — powtórzyłam z dystansem, ciągle skrzywiona.

— Pewnie, że tak! — krzyknęła. — Przecież to niemożliwe, żeby Enzo tak po prostu skoczył. Znałam go, każdy go znał. Zresztą ty też dobrze o tym wiesz.

Może przez moment byłam gotowa się z nią zgodzić, szybko jednak odpedziłam od siebie te myśli. To niezdrowe osądzać wszystkich wokół. Widziałam to po swoim ojcu, sam ledwo odróżniał dobro od zła i w każdym widział potencjalnego mordercę.

*Może nie znaliśmy go odpowiednio dobrze. Każdy się przecież mierzył z własnymi przeszkodami. Enzo pewnie też nie miał tak łatwo, jak mogło się wydawać.*

— No dobra, Agnes. Rozumiem, że to cię ciekawi, ale nie wiem, czy to dobry pomysł we wszystkich doszukiwać się zabójców.

— Wcale się nie doszukuję. — Wzruszyła ramionami. — Widzę, kto ma krew na rękach. Jej tak łatwo nie da się domyć — mówiła ze stoickim spokojem, a ja znów zmrużyłam oczy, po czym gorączkowo spojrzałam w jej stronę.

— O kim mówisz?

— Jules, Louis... — Wyliczała na palcach. — No i Rose. — Westchnęła cicho. — Nie mów, że nie widzisz. Chodzą cały czas do dyrektora, po szkole kręci się policja, a Leonce wydaje się jeszcze bardziej zdenerwowany niż zazwyczaj — zauważyła.

Słuchając jej, bezustannie kręciłam głową. Nie potrafiłam się z nią zgodzić.

— Od zawsze są na dywaniku przynajmniej raz dziennie, Agnes — stwierdziłam i weszłam na betonowy krawężnik, po czym rozłożyłam ręce na boki, by utrzymać równowagę. — Cały czas są w coś zamieszani.

— Sama widzisz, Blanco.

Mimo to nadal nie postrzegałam tego jako odpowiedzi na wszystkie pytania kotłujące się w mojej głowie. Chciałam żyć dalej, nie mogłam dłużej zajmować się tą tragedią. Może to samolubne, ale chwilami miałam jej po dziurki w nosie. Chciałam znów się uśmiechać do całego świata i nie przejmować się tym, że być może właśnie dzielę swoje szczęście z kimś, kto miał na sumieniu śmierć Enza.

Albo nie miał. Przecież nadal nie wiadomo, czy chłopak nie skoczył, prawda?

Po chwili milczenia Agnes zdecydowała się zmienić temat.

— Ktoś w ogóle używa tej latarni? — spytała, kiedy mijałyśmy dość rozległe pole prowadzące do nadmorskiego klifu i starej, opuszczonej latarni, którą mój tata zwykł nazywać Meluzyną.

— Zepsuła się kilkanaście lat temu i od tamtej pory tak sobie stoi — odpowiedziałam, bo doskonale znałam historię budynku.

— Ktoś powinien ją w końcu rozebrać.

— Albo naprawić — dodałam za Agnes, jednak po jej minie widziałam, że niekoniecznie się ze mną zgadzała.

— Czy ja wiem? — Zatrzymała się na moment, by zlustrować wzrokiem latarnię. — Jest brzydka, lepiej byłoby postawić coś nowego.

Fakt, była brzydka. Kiedyś miała granatową podstawę, metalowe schodki prowadzące do wejścia, wysokie białe ściany i przepiękny czerwony balkonik, znad którego posyłała strumień światła. Teraz ta stalowa konstrukcja była pokryta rdzą, a dostęp do niej był trudny. Schodkom brakowało kilku stopni, ktoś wyłamał drzwi, a szyby w oknach i lampa były potłuczone.

— Może masz rację — rzuciłam dla spokoju.

Nadal w duchu byłam przekonana, że latarnię wystarczyło zwyczajnie wyremontować. Tyle że nikt nie interesował się jej losem. A szkoda, widziałam w niej potencjał.

— Tak czy siak, zobaczysz, że ta trójka ma coś wspólnego z tym wypadkiem. — Agnes powróciła do zniechęconego przeze mnie tematu, a ostatnie słowo wymówiła z przekąsem.

Odchyliłam głowę do tyłu, by wziąć głębszy oddech. Naprawdę lubiłam tę dziewczynę, ale przez ostatni tydzień chociażby raz dziennie miałam ochotę zawiązać jej struny głosowe.

Ewentualnie po prostu zmienić jej kanał. Nie byłam fanką zagadek kryminalnych.

\* \* \*

Tego samego wieczoru, kiedy odrabiałam lekcje, ktoś zapukał do mojego pokoju. Odsunęłam się od biurka i spojrzałam na drzwi.

— Proszę — rzuciłam.

Chwilę później zza dębowego skrzydła wyjrzał tata, uśmiechnął się, wszedł, a następnie w milczeniu usiadł na końcu łóżka i westchnął głęboko. Wyglądał na zmęczonego i zdenerwowanego. Wcale mu się nie dziwiłam, ja też miałam wszystkiego dosyć, a nawet nie byłam blisko sprawy.

— Jak się trzymasz, córeczko? — zagaił z uśmiechem, a ja jednym ruchem zamknęłam zeszyt, po czym wzruszyłam ramionami.

— Znośnie — odparłam. — Wiadomo już coś nowego? — spytałam, chociaż w istocie wcale mnie to nie interesowało. Po prostu nie wiedziałam, o czym mogłabym z nim porozmawiać. Tata był zajęty od rana do wieczora, nawet jemu było trudno wyraźnie wyznaczyć granicę, gdzie kończyła się jego praca, a zaczynało życie rodzinne.

Tata przejechał rękoma po twarzy, jakby chciał zebrać pot lejący się z czoła.

— Nie, nadal stoimy w miejscu — odpowiedział wyraźnie zrezygnowany. — Chciałem cię zapytać... — zaczął, a ja miałam ochotę odpowiedzieć głośnym westchnieniem i schować się pod kołdrę. — Może byś mi trochę pomogła, jeśli chodzi o ten tytoń. — Odchrząknął. — Może coś wiesz? Może ktoś handluje nim w waszym liceum?

Uniosłam brwi i patrzyłam przed siebie, doszukując się w myślach odpowiedzi na jego pytanie, jednak nie potrafiłam do niczego dojść. Chwilę później pokręciłam głową.

— Nie kręcę się w takim środowisku, tato. — Parsknęłam śmiechem, by chociaż trochę go rozweselić, ale wydawało się, że jeszcze bardziej go zmartwiłam. — Znaczący się... niewykluczone, że ktoś nim handluje... Może Leonce? — wypaliłam i skrzywiłam się po chwili, ale tak, aby ojciec tego nie zauważył.

*Robisz się taka sama jak Agnes. Oskarżasz wszystkich wokół, choć nie wiesz, Blanco.*

Po prostu chciałam mu pomóc. Zdawało mi się, że ostatnio spał jeszcze mniej niż ja.

— Nie — rzucił od razu. — Przesłuchałem go w pierwszej kolejności. Był czysty.

Może odrobinę mnie to zaskoczyło, szybko jednak uciekłam od tego myślami.

— Powinieneś odpocząć — zauważyłam i usiadłam obok ojca. Objął mnie ramieniem i przycisnął do swojego boku. — Przestań na chwilę pracować, jutro się tym zajmiesz, tato.

— Masz rację — przytaknął i zdjął z głowy czapkę, która była elementem stroju szeryfa. Złożył delikatny pocałunek na moim czole, po czym powoli unióśł się z materaca. — Powiniennem się położyć. Tak samo ty, mała Lavigne. — Zaśmiał się słabo. — Mam nadzieję, że dzisiaj prześpisz chociaż pół nocy.

Nabrałam powietrza w płuca, by zaraz z wolna wypuścić je nosem. Uśmiechnęłam się do niego łagodnie, bardzo chciałam, by uwierzył w moje słowa.

— Postaram się zasnąć. Zaraz się kładę.

Jednak moje plany na tamten wieczór były zupełnie inne, niż tata mógł przypuszczać. Równy z wybiciem dwudziestej trzeciej, kiedy wszyscy byli pogrążeni w twardym śnie, postanowiłam wymknąć się z domu i znaleźć sobie zajęcie na tę ciemną, ciągnącą się w nieskończoność noc.

## Rozdział 3

Odkąd zmagalam się z bezsennością, próbowałam nocą zająć czymś myśli. Leżenie z głową na poduszce tylko po to, by wędrować wzrokiem po suficie, szybko mi się znudziło. Musiałam wykorzystać ten czas. Dlatego kiedy domownicy zasypiali, robiłam wszystko to, na co nie starczało mi czasu za dnia. Początkowo uczyłam się grać w szachy, malowałam lub czytałam książki, szybko jednak porzuciłam te zajęcia. O wiele mocniej ciągnęło mnie za okno. Wpatrywałam się przez nie w niebo, obserwowałam gwiazdozbiory i wkrótce zdecydowałam się wymknąć z domu, by doświadczyć tajemnic miasta skrywanych pod osłoną nocy.

Od tamtej pory regularnie spacerowałam po okolicy. Chowałam się między krzewami, by sąsiedzi mnie nie zauważyli i nie donieśli rodzicom o moich nocnych wędrówkach.

Teraz miałam na sobie jedynie sięgającą kolan białą sukienkę na ramiączkach i czarny sweter. Był początek września, noce wciąż były ciepłe. Wymykanie się drzwiami wejściowymi zdawało się nudne, dlatego wychodziłam oknem. Mój pokój znajdował się na parterze. Rodzice urządzili mi go tuż po narodzinach Anthony'ego — postanowili oddać mi swój ukochany gabinet, bym miała własny kąt. Chcieli, aby Tony mógł w razie koszmarów albo złego samopoczucia bezpiecznie dostać się w nocy do ich sypialni. Ja, duża dziewczyna, mogłam bez problemu wejść po schodach.

Kiedy postawiłam stopę na zewnątrz, wzięłam głęboki wdech i przy-  
mknęłam na chwilę oczy. Kochałam tę ciszę. Czułam, że nie bez powodu  
cierpiałam na bezsenność. Szkoda by było, gdybym przespała swoją  
ulubioną porę w ciągu doby.

Latarnia morska, o której mówiła Agnes, od dawna wydawała mi się  
piekielnie ciekawa. Wielokrotnie, kiedy mijałam ją podczas rodzinnych  
spacerów, pytałam rodziców o to, czy moglibyśmy się na nią wspiąć. Oboje  
zgodnie kręcili głowami i tłumaczyli, że jej konstrukcja jest stara i mogła-  
bym zrobić sobie krzywdę. Nikt od dawna do niej nie wchodził, wyglądała  
niestabilnie, a do tego była pokryta rdzą i oplatającą ją roślinnością.

Postanowiłam, że dzisiaj wejść na górę. Zupełnie zignorowałam uwagi  
rodziców i Agnes.

Kiedy znalazłam się tuż przed wejściem do latarni, ostrożnie postawi-  
łam stopę na pierwszym stopniu schodków. Wydawało się, że wcale nie  
był tak niestabilny, na jaki wyglądał, dlatego bez wahania dostawiłam  
drugą nogę. Spojrzałam na swoje stopy, obute jedynie w białe sandałki,  
i szybko pożałowałam, że je wybrałam, gdyż wijące się wokół ciernie ka-  
leczyły mi nogi. Weszłam do środka i ujrzałam kręcone metalowe schody,  
które prowadziły do balkonu na szczycie latarni. Mozolnie wspinałam  
się po krętej ścieżce, uważając na każdy krok. Byłam podekscytowana,  
zawsze marzyłam o wejściu na samą górę. Oddychałam głośno, obawia-  
jąc się w duchu, że noga mi się ześlizgnie, a ja polecę na dół. Kurczowo  
trzymałam się barierki.

Kilka minut później byłam na górze, pośród rozbitego szkła, wcześniej  
pomazanego farbą czy sprejem. Ostrożnie przeszłam przez otwór pozos-  
stały po wybiciu jednej z szyb, po czym złapałam się barierki i mocno  
ścisnęłam ją palcami.

Było przepięknie.

Miałam widok na morze i ciągnące się daleko wybrzeże. Patrzyłam,  
jak fale gniewnie uderzały o klif, słyszałam ich dudnienie. Jakby morze  
było na nas wściekle za to, że doprowadzaliśmy do tragedii. Wyglądało na  
to, że ono płakało równie głośno, jak wszyscy w tym płonącym mieście.



Tu nad każdym budynkiem unosił się dym. Płonęliśmy, wypalaliśmy się, syczeliśmy z rozżarzenia. Pękaliśmy niczym drewno wrzucone do kominka, napędzając pożar. To miasto już nigdy się nie ochłodzi, ono będzie bezustannie ściągało nas na dno.

Jeśli raz skręcisz kostkę, być może skręcisz ją po raz drugi. Musieliśmy być przygotowani na kolejną klęskę...

Nagle usłyszałam kroki.

Zamarłam, a serce podeszło mi do gardła. Był środek nocy. Nie miałam przy sobie niczego, czym mogłabym się obronić. Ta myśl zjeżyła mi włosy na głowie. Bałam się, że ktoś zaraz ściągnie mnie na dół, a później obudzi moich rodziców i o wszystkim im powie. Nie chciałam, by odebrano mi przyjemność z nocnych wypraw. Zauważyłam podłużny kawałek metalu leżący obok rozbitego szkła. Ostrożnie, jak najciszej, podniosłam go i zacisnęłam na nim obie dłonie, jak podczas gry w baseball.

Urzałam pojedynczy snop światła, jakby ktoś oświetlał sobie drogę latarką. Z każdą chwilą blask stawał się mocniejszy.

W końcu jakaś postać stanęła na balkonie i skierowała światło prosto na moją twarz. Skrzywiłam się, oślepiona przez błysk latarki.

— Kim jesteś?! — wypaliłam i zasłoniłam oczy dłonią.

— Lavigne? — Usłyszałam krótkie prychnięcie.

Doskonale znałam ten głos. Prześladował mnie codziennie.

Wtem latarka zgasła, a ja mogłam zobaczyć przybysza. Choć oświetlał go jedynie blask księżyca, doskonale widziałam w ciemności. Miał rozwichrzone włosy i był ubrany w tę samą ciemnozieloną bluzę, którą tego dnia miał na sobie w szkole, narzuconą na szkolny mundurek. Rose wpakował ręce do kieszeni w spodniach i lustrował mnie drwiącym wzrokiem.

Leonce DeRose, ten pieprzony buntownik, stał naprzeciwko mnie. Mimo wszystko odetchnęłam z ulgą, mogłam skończyć o wiele gorzej.

— Co ty tutaj robisz? — wydusiłam, jakby mi brakowało tchu.

— Co *ty* tutaj robisz? — powtórzył, wyraźnie podkreślając to, że zupełnie się mnie tutaj nie spodziewał. — *Wow*, chciałaś mnie tym

zabić? — Wskazał palcem na kawałek metalu, a ja natychmiast odłożyłam go na ziemię. — Śmiało, przynajmniej nie będą mnie za to podejrzewać — dopowiedział nieco ciszej.

Po chwili podszedł do barierki i oparł się o nią rękoma. Wzięłam głęboki oddech. To wszystko wydawało mi się niewłaściwe. Nie znosiłam jego obecności. Postrzegałam go jako zapatrzonego w siebie dupka, który uwielbiał łamać zasady. Wydawało mi się, że czasem robił to nawet wbrew sobie, tylko po to, by w oczach innych być nadal tym niezależnym, chłodnym typem, któremu nie można wchodzić w drogę.

— Chciałam, ale się rozmyśliłam. — Wzruszyłam ramionami i również położyłam dłonie na poręczy, jak najdalej od niego. — Ale wszyscy wciąż gadają o Enzu, poczekam, aż skończą im się tematy do rozmów.

Leonce spojrział na mnie kątem oka.

— Pytam poważnie... co tutaj robisz? — Brzmiał nieco mniej cynicznie niż wcześniej. — Nie sądziłem, że córka szeryfa wymyka się nocą z domu. Rodzice o tym wiedzą? — mówił dalej, znów zmieniawszy ton na nieprzyjemny.

Westchnęłam głośno.

— Daj mi spokój, Rose... Co ty w ogóle możesz o mnie wiedzieć? — prychnęłam. — Nie mam krat w oknie.

Wiedziałam, że mógł mieć co do mnie obiekcje ze względu na mojego ojca, który nie dawał mu ostatnio spokoju i cały czas mieszał go w sprawę Enza, próbując odnaleźć mordercę. Zakładałam, że mogło go to męczyć, szczególnie jeśli nie miał niczego na sumieniu.

— A szkoda. — Uśmiechnął się zwycięsko pod nosem i posłał mi przelotne spojrzenie. — Nie powinnaś tu przychodzić, w każdej chwili możesz spaść... czy coś — mówił, zwijając w palcach kosmyki włosów.

— Nie potrzebuję twojej troski.

Między nami zapadła cisza. Słyszałam jedynie uderzające o brzeg fale i czułam na sobie wiatr, który z każdą chwilą robił się coraz chłodniejszy. Otuliłam się jeszcze mocniej swetrem. Usiadłam na podłodze, zdjęłam sandaalki i wysunęłam bose stopy poza barierkę tak, że wisały w powie-

trzu. Gdzeniegdzie pręty były powyciągane, więc z łatwością można było przełożyć nogi na drugą stronę.

Nie lubiłam milczenia. To nie tak, że w tamtej chwili zrobiło mi się szczególnie niewygodnie, po prostu od dziecka wytykałam ciszy jej wszystkie wady. Kiedy zasypiałam, musiałam mieć otwarte okno, by słyszeć wszystko, co działo się na zewnątrz. Nigdy nie narzekałam na grające bez przerwy radio czy rozmowy podczas pisania klasówki.

— Często tu przychodzisz? — Przerwałam ciszę, by uzyskać odpowiedź na pytanie, które nie dawało mi spokoju.

Leonce znów zerknął w moją stronę, po czym przysunął się tak, że dzieliło nas mniej niż dwa metry. On również usiadł na zimnej podłodze i wysunął jedną nogę poza barierkę.

— Często. Nawet tu fajnie — odparł.

— Nawet? — powtórzyłam, ściągnawszy brwi.

— Są ciekawsze miejsca. — Wzruszył ramionami, a moim umysł na moment znów zawładnęła ciekawość. Tym razem opanowałam chęć zadawania mu pytań. — A ty?

— Jestem tu pierwszy raz. Nie sądziłam, że da się na nią wejść. Wszyscy mówili, że najlepiej byłoby ją rozebrać, bo nie nadaje się do wchodzenia i...

— Pieprzenie.

Ściągnęłam brwi i spojrzałam w jego stronę. Leonce wyciągnął z kieszeni spodni małą, żarową zapalniczkę w czerwonym kolorze i bawił się nią, otwierając ją i zamykając przed swoimi oczami.

— Co? — rzuciłam, zbita z tropu.

— Pieprzenie, Lavigne — powtórzył i również zerknął na moją twarz. Ogień migotliwie oświetlał jego policzki. — Nienawidzę tego miasta.

— Dlaczego?

Leonce schował zapalniczkę z powrotem do kieszeni spodni, po czym opadł na plecy i wpatrywał się w milczeniu w gwiazdy, jakby szukając odpowiedzi na moje pytanie. A przecież nie musiał jej długo szukać, dobrze wiedział, za co nienawidził tego miasta. Ja też natychmiast mogłabym wskazać powód.

— Oni wszyscy najchętniej wsadziliby każdego za kratki. Nie chce im się nawet porządnie sprawdzić, jedynie wydają oskarżenia i wyroki, a nie wiedzą nic, do cholery — wyrzucił z siebie z irytacją, po czym znów wziął głęboki oddech.

— Skąd ty to możesz wiedzieć? — Przed oczami miałam obraz wykończonego ojca, który całe dni spędzał nad badaniem tej piekielnej sprawy. — Mój tata żyje tą sprawą, przestał jeść, nie śpi... Wszystko po to, żeby sprawiedliwie wskazać tego, który na to zasłużył.

Rose parsknął śmiechem, po czym usiadł.

— Twój ojciec jest w tym najgorszy.

— Zamknij się, niczego nie wiesz.

— Potrafi jedynie kiwać palcem i mówić, że chce dla nas wszystkich dobrze. Prawda jest taka, że z niczym sobie nie radzi i jest beznadziejnym szeryfem — mówił z irytacją. Nie chciałam tego słuchać.

On nic nie wiedział. Nie znał tego spojrzenia, które błagało o chwilę wytchnienia.

I chociaż nie znosiłam ciszy, odwróciłam wzrok i zamilkłam, bo nie chciałam dłużej z nim rozmawiać. Nie mogłam mu się dziwić, był zły na to, że każdy widział w nim mordercę. Sama nie wiedziałam, gdzie leżała prawda. Nie chciałam jednak bawić się w ojca i wskazywać palcem podejrzanych. Pozostało mi być nieufną i zdystansowaną, zresztą nie wydawało mi się to aż tak trudne.

Wtem Leonce wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów, już dosyć wygniecioną, jakby nosił ją stale przez ostatni miesiąc. Kątem oka obserwowałam, jak wyjmuje jednego papierosa, który nie wyglądał jak kupiony w kiosku. Był zwinięty samodzielnie, a z przodu wystawało trochę tytoniu, jakby miał się zaraz wysypać z bibułki.

*Tytoni.*

Usłyszałam pstryknięcie czerwonej zapalniczki, po czym Leonce zapalił papierosa. Wpatrywałam się w tę scenę z otwartymi ustami, próbując wszystko sobie poukładać.

*Przestań osądzać, Blanca. Całe miasto paliło te beznadziejne fajki, nawet ci, których uważasz za świętych.*

Rose znów parsknął śmiechem, czym wyrwał mnie z zamyślenia. Otrząsnęłam się i nerwowo odwróciłam wzrok.

*Cholera.*

— Ty też masz mnie za zabójcę, co? — zapytał i wypełnił swoje płuca tym okropnym dymem.

— Nie — odparłam krótko i wzruszyłam ramionami. Podsunęłam jedno kolano pod brodę, by móc się na nim oprzeć. — A powinnam?

— Pewnie tak — odpowiedział i wypuścił niewielką chmurę dymu przed siebie. — W końcu ty też jesteś tą częścią tego miejsca, której nienawidzę.

Poczułam, jak fala irytacji rozlewa się po moim ciele. Zaciśnęłam pięści i podniosłam się z lodowatego podłoża. Leonce zmarszczył brwi, po czym zlustrował mnie spojrzeniem.

— Nie mów, że się za to obraziłaś.

— Wszystko jedno, Rose. I tak mam twoje zdanie gdzieś — skłamałam, gdyż w duchu naprawdę mnie to uraziło.

Tak, to bolało. Nie było przyjemnie usłyszeć, że ktoś mnie nienawidził, choć bez przerwy dla wszystkich starałam się być jak najlepsza. Nawet dla tego dupka, palącego przy mnie papierosy, od których robiło mi się niedobrze.

— Nie chcę śmierdzieć fajkami. Inaczej będę musiała się przyzwyczaić do krat w moim oknie — zadrwiłam.

— Jasne, na razie, Lavigne. — Chłopak znów położył się na ziemi, a ja pomachałam mu w geście pożegnania. — Lepiej idź już spać.

Rzuciłam jeszcze okiem na rozciągającą się przede mną panoramę, po czym przeszłam przez otwór po wybitej szybie. Zamyślona, powoli schodziłam na dół.

Ten chłopak był największą zagadką, z jaką musiało się zmierzyć to miasteczko.



# PROGRAM PARTNERSKI

— GRUPY HELION —



1. ZAREJESTRUJ SIĘ
2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW w działający bankomat!

**Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!**

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA  
**Helion** 

# Gdy prawda wyjdzie na jaw

Małe miasteczko Portsall żyje tajemniczą tragedią. Ze stromego klifu spadł uczeń miejscowego liceum. Czy do jego śmierci przyczynił się szkolny kolega Leonce DeRose? Mieszkańcy podejrzewają właśnie DeRose'a — przeciw nastolatkowi przemawia jego przeszłość, zachowanie, nawet sposób, w jaki się ubiera. Uważnie przygląda mu się także szeryf Lavigne.

Blanca, córka szeryfa, siedzi w szkolnej ławce tuż przed Leonce'em i czuje się z tym bardzo nieswojo. Z przodu ona, zdolna i pilna uczennica, z tyłu on — mroczny, wiecznie żujący gumę chłopak w dżinsowej kurtoe. A może to nie żaden morderca, tylko po prostu zraniony, nierozumiany przez otoczenie młody człowiek? Blanca będzie miała okazję się o tym przekonać, ponieważ życie połączy ją z DeRose'em szybciej i mocniej, niż by sobie tego życzyła.

**Czy dwoje nastolatków odważy się sobie zaufać?**

*W miasteczku, w którym każdy  
nosi maskę i nikt nie mówi tego,  
co naprawdę myśli...*

**Patroni medialni:**



**beyA.**  
beyA.pl

ebook dostępny na:

**ebookpoint**

ISBN 978-83-283-9296-0



9 788328 392960

CEM-4490 ZL